ROZMAITOŚCI.

Dnia 28 lutego, **N^{er} 9.** **roku 1846.**

ALIKA
CZYLI:
KORÓNKI ALENSOŃSKIE.

(Dokończenie.)

Pan Castera i rodzina jego, składająca się z żony i dwóch córek, z których jedna wdową, a druga jeszcze bardzo młodą była, mieszkali w małym, odosobnionym domku przy ulicy St. Seurin. W towarzystwie tychto dobrotliwych i zacnych ludzi, którzy Alikę z najszczérszą uprzejmością przyjęli, przyszła ona nieco do siebie i zaczęła powoli zapominać o swoim przykrym losie na przyszłość.

Uczuwamy niekiedy życzenia, które lubo w sobie niewinne, tak nam przecież żywo dojmują, żeby nas nieszczęśliwymi uczyniły, gdybyśmy ich spełnić nie mogli. Takto dnia pewnego zapragnęła koniecznie Alika, ujrzéć znowu dom swego zmarłego wuja. Wiedząc, iż jego spadkobiercy tam nie mieszkają, i że tylko jakiś stary sługa domu dogląda, spodziewała się, iż dawszy mu się do poznania, będzie mogła raz jeszcze przestąpić progi tego zacisznego przybytku swojéj młodości — będzie mogła zwidzić ten ulubiony ogród i wszystkie owe drogie miejsca, przypominające jéj tyle chwil miłych, spędzonych w towarzystwie ukochanego pana de Mauriac.

Byłoto w niedzielę, wszyscy powychodzili na mszę; Alika została sama z panią Castera, którą jakaś przemijająca dolegliwość w domu wstrzymała. Pani Castera była bardzo dobrą osobą; dbała z niezrównaną gorliwością o ład i zarząd w domu; oprócz tego miała też inne chwalebne przymioty, lecz ponieważ jéj życie w jednostajnym, niczém niezmąconym spokoju upłynęło, przeto, jakto w podobnych wypadkach często się zdarza, zbywało jéj zupełnie na wszelkich głębszych wzruszeniach duszy. Ztąd nie powinno nas wcale dziwić, iż pani Castera, usłyszawszy życzenie Aliki, zawołała z uśmiechem:

„Jako! Chcesz obaczyć dom swego wuja! Czyliż jeszcze go nie znasz?”

»Chciałabym się jeszcze raz z nim pożegnać, kochana pani Castera» ozwała się Alika nieśmiało, jak osoba, która obcym językiem mówi, i wątpi, aby ją zrozumiano.

»Obaczyć czy pożegnać, to wszystko jedno» — odpowiedziała małżonka notaryjusza. »Bo jakżeto, Aliko, można się żegnać z domem? Pojęłabym, gdybyś się chciała przekonać, czy tam wszystko jeszcze czysto i w należytym utrzymywane porządku, ale odkąd ten dom w obce ręce przeszedł, cóż cię to teraz obchodzić może?»

Alika chciała coś odpowiedziéć; wszakże jedno spojrzenie na to łagodne, chociaż zimne oblicze pani Castera, nakazało jéj milczéć, przekonując ją, iż wszelkie porozumienie pomiędzy niémi w tym względzie jest niepodobne. Dla tego nie mówiąc już ani słowa, otwotrzyła po chwili drzwi z cicha, wyszła niepostrzeżona z pokoju, i zarzuciwszy na twarz zasłonę, udała się wolnym krokiem ku swemu dawnemu pomieszkaniu.

Tymczasem zaczęło się już zmierzchać. Alika żałowała, iż tyle czasu na rozmowie z swoją teraźniejszą opiekunką straciła, lecz nie dała się tém opóźnieniem odstraszyć. Dom jéj wuja znajdował się niezbyt daleko, a do tego zeszedł był księżyc na niebie i wynagradzał sowicie jasność słoneczną.

Jużeśmy dawniéj wspomnieli, iż dom pana de Mauriac stał na ustroniu, w pobliżu zwalisk pałacu cesarza Galliena o wysokich arkadach z starożytnych, szaro omszonych głazów. Odbijając swoją bielą od tych zczerniałych starością murów, ocieniony ciemnémi masami drzew ogrodowych, przedstawiał nasz domek nadzwyczaj miły widok w téj jasnéj, miesięcznéj nocy. Serce uderzyło Alice gdy go postrzegła, a czém bliżéj ku niemu nadchodziła, tém żywiéj czuła, jakby ciemna jakaś zasłona oczy jéj ćmiła W chwili, gdy przystąpiwszy już do progu rękę na klamce od drzwi oparła, owładło ją dziwne bolesne wzruszenie, a pamięć o jéj wuju, który ją zwykle u tego progu dobrotliwym niegdyś witał uśmiechem, wstrząsła jéj całą duszą. Musiała wszelkich sił użyć, aby klamkę pocisnąć, ale drzwi były zamknięte, a na sprawiony klamką od-

dźwięk, odpowiedziało jéj tylko jakieś skomlenie zwewnątrz. Z radością poznała Alika głos ulubionéj charcicy — i zawoławszy „Dyjano! Dyjano!” uroniła łez kilka, które jéj niejaką ulgę sprawiły.

Weselsze skowyczenie charcicy oznajmiło, iż ona także swoję dawną panią poznała, lecz oraz, iż nie mogła do niéj się zbliżyć, gdyż była na uwięzi. Alika zapukała i jęła pilnie słuchać, czy jéj otworzą; jednak gdy wszystko wewnątrz w głębokiém milczeniu spoczywało, biédna dziewica ponowiła pukanie, a wreszcie, zanosząc się coraz rzewniejszym żalem, uderzyła gwałtownie we drzwi, które niegdyś tak często bez przeszkody przed nią się otwiérały. Ztémwszystkiém cały dom milczał głucho, a wraz z śmiercią dawnego pana, zdało się jakby i przybytek jego, ta niegdyś tak miła i wesoła siedziba dziecinnych uciech Aliki, wszelkie życie straciła, i martwo przed nią stała. Nieszczęśliwa sierota była blizką omdlenia, lecz jakby już zginąć tu miała, skupiła jeszcze raz wszelkie siły i zastukała tak mocno, iż głośne echo po całym domku się rozległo; wszakże i teraz tylko Dyjana żałośnie w odpowiedź zaskowyczała, a wysilona Alika padła bez przytomności o ziemię.

Wszystko było cicho jak w grobie; jedna charcica przerywała od czasu do czasu swojém skomleniem tę martwą ciszę.

Wtém nadjechał jakiś szybko goniący powóz, stanął przed zwaliskami cesarskiego pałacu, a z powozu wyskoczyła młoda i hoża dama, chcąca sobie zapewne w przechadzce śród tych spaniałych arkad, za pomocą swéj żywéj wyobraźni, całą dawną świetność tego pysznego zabytku rzymsko-pogańskiéj architektury uobecnić.

Wkrótce jednak nieustanne skomlenie i szczekanie charcicy, odzywające się tém żałośniéj, im bardziéj melancholijna samotność wokoło panowała, zwróciło mimowolnie uwagę młodéj damy; przerwała więc swoje dumania o przeszłości i zajęła się obecnością. Wiedząc dobrze, iż pies tak długo bez powodu nie szczeka, chciała ten powód zbadać, i postrzegła wkrótce przy świetle księżyca czarną zasłonę i suknię jakiejś u progu domku leżącéj osoby.

„O mój Boże!” zawołała nieznajoma, biegąc wraz z kilką służącymi ku pomocy téj martwéj na pozór postaci, w któréj jakąś nieznajomą dziewczynę ujrzano. „O mój Boże! nieżywa!”

„Nie, pani,” odpowiedział jeden z służących, który podnosząc Alikę, jeszcze oddech w jéj piersiach poczuł. „Ona tylko zemdlała.”

Nato zaczęła także nasza nieznajoma dama do drzwi domu kołatać, lecz widząc, że nikt nie odpowiada, obróciła się do służących i rzekła: „Zanieście ją do powozu; ruch i powietrze przywrócą ją może prędzéj do życia; a ty” — dodała mówiąc do najstarszego ze służby — „ty zostań tutaj; być może iż tu ktoś po tę tak staranie ubraną i piękną pannę nadejdzie; powiesz więc, iż żona piérwszego ministra, pani Colbert, zabrała ją z sobą do pałacu Ombrières, który jéj od parlamentu przez czas jéj pobytu w Bordeaux na mieszkanie przeznaczono.”

Wyrzekłszy te słowa, usiadła pani Colbert obok Aliki w powozie, a cztéry żartkie rumaki ruszyły cwałem z miejsca

Teraz należy wspomnieć kilką słowy o panu Colbert i jego żonie.

Jan Baptysta Colbert, minister i sekretarz stanu, jeneralny zawiadowca finansów za czasów Ludwika XIV, urodzony r. 1619, w Reims, miał około tego czasu 46 lat; w r. 1637, ożenił się z Maryją, córką pana Jakóba Charrons, ordynata na Menars, i onato wzięła teraz Alikę z sobą do powozu.

Zaledwie powóz przed pałacem Ombrières stanął, i nieprzytomną jeszcze ciągle Alikę do pokojów zaniesiono, przybył jakiś goniec w liberyi ministra i doręczył pani Colbert list od męża. Główną treścią tego listu była prośba, aby pani Colbert natychmiast dalszą podroż wstrzymała i nazad do Paryża wróciła, ponieważ jéj mąż jakichś nadzwyczajnie ważnych wiadomości ma jéj do udzielenia. Nim jeszcze pani Colbert listu doczytała, oznajmiono jéj kogoś nieznajomego, który wraz z zostawionym przy ruinach Galliena służącym do pałacu Ombrières przyszedł. Małżonka pierwszego ministra kazała wpuścić nieznajomego, i zapytała oraz o zdrowie Aliki. Odpowiedziano, iż przyszła już do siebie, a wtém wstąpił pan Castera do salonu. Wymieniwszy swoje nazwisko, opowiedział notaryjusz, kto jest Alika, i w skutek jakiéjto szlachetności umysłu, ona, która mogła być bogatą dziedziczką, jest teraz zniewolona szukać przytułku u obcych.

„Daj mi ją pan, panie Castera” — ozwała się pani Colbert, wzruszona spaniałością Aliki. „Daj mi ją pan, a będę się z nią jak z siostrą obchodziła, i od niéj tylko zależéć będzie, czy zechce być szczęśliwą.”

Oświadczenie to było zbyt pochlébném dla biédnéj opuszczonéj siéroty, a pani Colbert była zanadto wielką panią, aby jéj tak uprzejmie uczynionemu żądaniu odmówić. Pan Castera przystał więc na prośbę pani Colbert, a również i Alika poczytała sobie za szczęście miéć tak dostojną i dobrą opiekunkę. Zaczém ułożono natychmiast, iż Alika, któréj omdlenie żadnych dalszych skutków nie miało, nazajutrz rano z małżonką ministra do Paryża odjedzie. Stało się to też ku wielkiéj radości poczciwéj pani Castera, która pojąć nie mogła, jakim sposobem tak wielka i można dama, nie znając wcale Aliki, do siebie ją wziąć mogła.

»My, to zupełnie co innego” — mawiała w pro-

stocie swego ducha — »my mogliśmy ją przyjąć u siebie, ponieważeśmy ją oddawna znali.»

Lecz wróćmy do Aliki i jéj nowéj opiekunki. Było właśnie z południa, gdy pani Colbert w Paryżu w hotelu swoim stanęła. Pierwszą jéj troską było kazać sobie zrobić kąpiel, aby dopiéro po ukończeniu zupełnéj toalety z ministrem się obaczyć. Wszakże ku wielkiemu jéj zdziwieniu wszedł pan Colbert nieoznajmiony do pokoju i usiadł sobie przy żonie, nie postrzegając nawet Aliki, która za krzesłem swéj pani, jéj długie jasne włosy rozczesywała.

„Widzisz mię w bardzo przykrém położeniu, moja droga Maryjo" — rzekł minister. „Pan Croissy ożenił się z córką prezydenta de Lireux."

„Wiém o tém, odpowiedziała pani Colbert, starając się naprożno dociec właściwego znaczenia tych wyrazów."

»I zrobił jéj dar bogaty z przepysznych korónek weneckich" — mówił dalej stroskany minister.

»I cóż ztąd za nieszczęście!" spytała Maryja, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

Minister przybrał jeszcze kwaśniejszą minę i rzekł:

„Te korónki kosztowały 36.000 liwrów, i były powszechnie na ostatnim balu dworskim chwalone."

Pani Colbert przelękła się, czy jéj mąż zmysłów nie stracił, i zaniechawszy już uśmiechu, spojrzała tak badawczym wzrokiem na niego, że Colbert prawie z gniewem się ozwał:

„Jakto, czyż nie pojmujesz, iż odtąd wszystkie damy dworu, a ty pierwsza, zechcecie tak kosztowne korónki nosić."

„Jeżli ci się to nie podoba, mój mężu" — odpowiedziała Maryja z potulną uległością — „tedy bądź pewny, iż to się nigdy nie stanie."

»Mówisz o sobie, Maryjo, o sobie samej" — rzekł minister z niecierpliwością — »ale czy możesz za swoje przyjaciołki ręczyć, że i one także" —

»O, wątpię w istocie, aby którakolwiek dama, prócz twojéj żony, chciała się z miłości dla ciebie tak pięknego przyboru pozbawić."

»Otoż widzisz, moja kochana; toż mię więc gniewa i martwi. Wszystkie damy dworu, a późniéj i każda mieszczka, która ma pieniądze, a chce także coś znaczyć, będą sobie takie korunki sprowadzały, a przeto ogromne sumy francuzkie z kraju za granicę wyjdą.

Teraz dopiéro pojęła Maryja troskę swojego męża, który jako wielki minister w tak nieznacznéj na pozór okoliczności, ważną kwestyję finansową upatrzył. Atoli ta kwestyja nie tyczyła się w niczém Maryi; zatém, jak dziecko, któremu w przyjemnéj zabawce ktoś przeszkodzi, rzekła skrzywiona do męża:

„Rozumiem cię teraz, mój mężu, lecz przyznam się, iż nie widzę powodu, dla czego ja przeto moje rozpoczętą podróż przerywać miałam?"

„Ponieważ jesteś kobiétą, i znasz się na tych rzeczach, której tak dalece króla rozgniewały, iż gniew jego niechybnie i na ministra spadnie."

„A gniew pierwszego ministra na jego żonę; bo to już tak być powinno. Ależ pozwól mi przynajmniéj abym nieco wytchnęła. Chciałam się właśnie kąpać, gdyś mię swémi odwidzinami zaszczycił, a ponieważ tu o rzecz damskiego stroju idzie, a podobne sprawy wyłącznie przed trybunał kobiét należą, przeto natychmiast po kąpieli zwołam całą moją radę niewieścią, i zawiadomię cię w przeciągu godziny o skutku naszych obrad."

„Ty sobie żartujesz, Maryjo" — rzekł minister melancholijnie — »nie umiész sobie wyobrazić, jak wielką władzę moda wywiera. Francyja nié ma dość pieniędzy, aby jéj damy za granicą sobie stroje kupować mogły; nasze to, nie zagraniczne fabryki jak najsilniéj wspiérać należy."

»Ha, to zróbże» — ozwała się Maryja wesoło — "aby nasze fabryki się poprawiły; ale co do korónek, pokaż mi przynajmniéj jedne fabrykę we Francyi, którąby z weneckiémi albo flandryjskiémi fabrykami w porównanie iść mogła."

»Jestto niestety prawda" — odpowiedział minister z wyrazem żywego smutku, spuszczając w dół oczy, a potém spojrzał na żonę, któréj znużenie widocznie postrzegać się dawało, i rzekł:

„Idź, idź się kąpać; czémże bowiem wszystkie fabryki kraju, na których dobry byt narodu polega, w porównaniu z orzeźwiającą kąpielą! Do zobaczenia, moja kochana."

»Wierzaj mi, Baptiste" — ozwała się pani Colbert odprowadzając męża do drzwi — „wierzaj mi, iż gdyby kto teraz to stroskane oblicze pierwszego ministra jego król. mości Ludwika XIV widział, pewnieby nie pomyślał, iż to uczyniony pannie Lireux dar weneckich korónek tak srogie utrapienie wywołał."

„O, Maryjo, Maryjo!" — zawołał Colbert z bolesnym wyrzutem; lecz w tejże chwili powściągnął niechęć, i dodał z wymuszonym uśmiechem: „Przebacz, Maryjo, zapomniałem się; z dziećmi i z kobiétami należy ich własnym językiem mówić."

Colbert wyszedł a Maryja została w milczeniu, zamyślona u drzwi, które minister za sobą zamknął.

»Dałabym pół życia za to" — rzekła wreszcie pani Colbert z głębokim żalem — »żeby tych ostatnich słów do mnie był nie wymówił."

»Nie trzeba ich sobie tak mocno brać do serca" — ozwała się Alika głosem podwładnéj, która wié, iż jéj przełożona ma do niéj zaufanie.

„Ale cóż mam robić?” zawołała Maryja, dając się swoim garderobianom rozbierać.

„A nie mogłażbym ja widzieć tych korónek pani de Croissy?” zapytała Alika po niejakim namyśle.

„Nic łatwiejszego nad to” — odrzekła pani Colbert — „panna de Lireux i ja, wychowałyśmy się w jednym klasztorze.”

„Więc racz pani uzyskać mi pozwolenie” — odpowiedziała żywo Alika — „abym ten strój cudowny, który Francyi zniszczeniem grozi, dokładnie obejrzéć mogła. Wszakże nie śmiém nic mówić, dopóki nie będę pewną pomyślnego skutku.”

„Czyż i twój sposób mówienia” — ozwała się pani Colbert pół na prawdę, pół w żarcie — „podobnie jak sposób mego męża, miałby zbyt wysokim być dla mojego pojęcia.”

„Ach, pani” — odpowiedziała Alika, zajęta widocznie jakąś żywą myślą — „pojmuję tak dobrze troskę szlachetnego małżonka pani, iż nie śmiém.... Ach Boże! Gdybym też była tak szczęśliwą, i mogła pracą rąk moich wywdzięczyć się pani za łaskę, z jakąś mię w swoim domu przyjęła... Ale nie traćmy czasu; racz pani tylko do księżnéj napisać, abym te korónki oglądać mogła.”

„Dziwna z ciebie dziewczyna” — rzekła pani Colbert. „Jesteś jeszcze bardziéj niż ja z drogi znużona, a chcesz coprędzéj wyjść z domu.”

„Nie, pani, nie czuję wcale znużenia; radabym tylko obejrzéć zaraz ten strój, który najpiérwszego ministra, jakim wiek Ludwika XIV się szczyci, tak przykréj troski nabawia.”

„Nié ma nic łatwiejszego, jak spełnić twoję prośbę” — rzekła małżonka ministra, poczém wyjąwszy z wytwornego sekretarzyka woniejącą kartkę papiéru, napisała na niéj następne słowa:

„Kochana Antonino!

Bądź łaskawa pozwolić, aby jedna z moich panien pokojowych twoje korónki weneckie oglądnęła; nadzwyczajna ich piękność sprawiła tak powszechne wrażenie, iż mię nawet w podróży prawdziwym zdjęła podziwem. Twoja

Maryja Colbert.”

Alika wzięła z takim pośpiechem kartkę z rąk swojéj pani, że ta ledwie rzéc do niéj mogła: Weź przynajmniéj moje konie.” Poczém Alika wybiegła szybko z pokoju.

Bawiła ona u pani de Croissy z pół godziny. Wróciwszy jednak do domu, nie poszła natychmiast do pani Colbert, lecz zamknęła się w wyznaczonym sobie pokoju i prosiła, aby jéj tam dni kilka bez przeszkody pozostać dozwolono. Bądź iż pani Colbert rzeczywiście powodu téj prośby się domyślała, bądź iż jéj tylko dowód swego przyjaźnego obejścia się z nią, jako nie ze sługą, dać chciała — dość, że zostawiła Alice zupełną wolność. W tydzień weszła Alika nagle do pokoju swéj pani z pudełkiem modniarskiém w ręku. Oblicze jéj jaśniało najżywszą radością.

„Pani” — rzekła Alika poważnym i prawie uroczystym głosem — „nie mogłażbyś mi natychmiast u pana ministra wyjednać posłuchania?

„Posłuchania u mego męża?” ozwała się małżonka ministra. „Chociażbym nawet nie miała wiedziéć w jakim celu?”

„O moja droga pani i dobrodziéjko” — mówiła Alika wzruszona, ze łzami w oczach — „nie traćmy i chwili; idzie tu o spokojność szlachetnego małżonka pani.”

Maryja Colbert wstała, postąpiła ku drzwiom i rzekła:

„Dobrze więc, moja kochana, uczynię czego żądasz.”

Byłato właśnie godzina, kiedy Colbert sam na sam owémi rozległémi planami się zatrudniał, które wiek Ludwika XIV na tak wysoki stopień sławy i potęgi podniosły. Nikt w świecie, prócz jego żony, nie byłby mu wówczas śmiał był przerywać w pracy. Sama pani Colbert wahała się przez chwilę wstąpić do gabinetu, lecz wypadek, który ją tam prowadził, był tak osobliwszy, iż ją ta myśl ośmieliła. Ztémwszystkiém uczuła lekki dreszcz u wstępu i nie kryła się bynajmniéj z tém przed Aliką.

„Wejdźmy śmiało!” rzekła Alika swobodnie, jakby najlepszego przyjęcia pewną była.

„Ale któż ty jesteś, ty mała dziewczyno z pod miasteczka, iż ważysz się przeszkadzać mężowi, który po królu największą władzę w kraju posiada?” zapytała Maryja Colbert zdziwiona.

„Nie ze mnie saméj, lecz z Boga, przychodzi mi ta odwaga.”

Maryja uchyliła drzwi od gabinetu.

„Kto tam?” zawołał minister, marszcząc brwi z owym wyrazem potęgi, który nam obraz zagniewanego Jowisza przypomina, a który tylko wielowładnym ludziom właściwym bywa. Ujrzawszy jednak swoję małżonkę, która zatrwożona tym groźnym wyrazem, lękliwie u progu stanęła, wypogodził minister zasępione oblicze i wyszedł naprzeciw Maryi. Wtedyto dopiéro postrzegł on także Alikę, która stojąc dotąd za panią, teraz śmiało naprzód wystąpiła i skłoniwszy się przed ministrem, pudełko mu swoje wskazała.

„Oto, *monseigneur*” — rzekła otwiérając pudełko i rozwijając przed ministrem łokieć korónek — „racz obejrzéć te korónki i wyrzec, czy ów wenecki przybór pani de Croissy jest piękniejszym?”

„Co ja widzę! Jakażto śliczota!” zawołał uradowany minister, a jego potężna ręka zadrżała prawie pod leciuchną wagą téj przezroczystéj pajęczéj tkani. „Zkądże-to? Któżto robił? Gdzie mieszka owa czarodziejka, co umiała...”

„Nie czarodziejka” odpowiedziała Alika ministrowi, który z radości i podziwienia oniemiał — „nie czarodziejka, lecz uboga dziewczyna, która czuje się być szczęśliwą, iż może wywdzięczyć się za dobrotliwe przyjęcie, jakiego od pani Colbert doznała. Jako Fiamandka z urodzenia, a córka kupcowéj, która miała sklep z korónkami, nie potrzebowałam więcéj, jak tylko obaczyć ową kosztowną wenecką tkankę, aby za pomocą cokolwiek wyobraźni, inną podobną utworzyć.... Niech tylko *monseigneur* raczy mi wyznaczyć miejsce, i dziewcząt dać do pomocy, a w krótkim czasie będą one równie jak i ja zręczne w téj pracy.”

„Dobrze” — rzekł Colbert, pochwytując szybko jak wszyscy jenijalni ludzie, rzucony sobie pomysł — „ale ktoż przywiedzie nasze damy do tego, aby nosiły francuzkie, a nie flandryjskie lub weneckie korónki?”

„Moda” — odpowiedziała skromnie Alika.

„A jakże zaprowadzimy tę modę?” spytał minister — ”na to niémasz królewskich rozporządzeń.”

„Nie, *monseigneur*” — odrzekła Alika z uśmiéchem — „ale jest coś daleko skuteczniejszego. Niechaj kto skłoni króla, aby on piérwsze z naszéj fabryki wyszłe korónki darował pani Croissy, która z uszanowania dla tego królewskiego daru, swych weneckich korónek dłużéj nosić nie będzie, — aby je darował również pani de Colbert, która we wszystkich towarzystwach korónki te nosić będzie; a jeżli tym sposobem moda francuzkich korónek się nie upowszechni, natenczas chętnie fabrykę moję porzucę.”

Stało się też, jak ułożono. Colbert sprowadził z Flandryi i z Wenecyi robotniczki, wydzielił im mieszkanie w pewnym klasztorze, oddał zarząd całego zakładu Alice, a w ten sposób, korónki alensońskie, nazwane tak po swojéj wynalezczyni, weszły powszechnie w modę.

* * *

We trzy lata po tém zdarzeniu, nad wieczorem, gdy robotniczki po skończonéj pracy były na nabożeństwie w kościele klasztornym, zadzwoniono u fórty, i dano znać Alice, iż jakaś mała dziewczyna, upadająca na siłach, z zakrwawionémi nogami, w okrytych kurzem sukniach, z Aliką mówić żąda, nie chcąc jednak wymienić swego nazwiska.

„Dość że jest ubogą i cierpiącą„ — odrzekła Alika — »więcéj nie potrzeba, aby do mnie przystęp miała. Przyprowadźcie ją prędko do mnie.”

Po krótkiéj chwili ujrzała Alika przed sobą jakąś młodą dziewczynę, któréj rysy, lubo jéj wcale nieznane, przecież jakieś oddalone podobieństwo z drogiémi rysami piérwszego dobrodzieja Aliki miały.

„Ktoż ty jesteś, moje dziécię?” spytała panna d'Alenson.

Nieznajoma odpowiedziała nieśmiało:

„Jestem osobą, którą pani zapewne nienawidzisz, gdyż rodzina moja wyrządziła pani wielką krzywdę, a przecież nie wahałam się ani chwili, uciec się pod twoję opiekę, bo mając wszelkie cnoty prawdziwéj chrześcijanki, nie będziesz także bez miłosierdzia. Ręka opatrzności dotknęła srogo moję rodzinę, pożar i gradobicia zniszczyły naszę majętność i nasze pola, śmierć zabrała mi rodziców. W nocy przed zgonem mojéj matki, gdym przed drzwiami jéj pokoju modliła się i płakała, a tam w środku księża nad nią czuwali i śpiéwali, rzekła stara służąca do mnie: „Bóg sprawiedliwy!” a potém opowiedziała mi jak moja rodzina niegdyś z tobą pani niegodnie postąpiła.”

„Nie nazywałaż się ta służąca Bilatona?” zapytała roz̀czulona Alika.

„A ja, panna de Savigne” — odpowiedziała młoda dziewczyna, spuszczając oczy — »ja, ostatnia z téj tak niegdyś możnéj i poważanéj rodziny; ja nie mająca już nic na świecie, prócz niezmiennego zaufania w dobroć twoję pani Ta, pomyślałam sobie, która raczéj wszystko stracić wolała, niż w niesprawiedliwe podać się podejrzenie, ta odpłaci mi złe dobrem, i nawet nieprzyjaciołkę swoję łaskawie przyjmie... chociaż Bóg mi świadkiem, iż ja nieprzyjaciołką pani nie jestem,”

„Jesteś moją kochaną siostrą” — ozwała się Alika ze łzami, ściskając tę ostatnią latorośl drogiego Alice imienia de Mauriac. „Niech cię Bóg błogosławi, żeś tak dobrze o mnie myślała. Tak jest, Bóg sprawiedliwy! Bilatona ma słuszność. Jestem znowu majętną, a wszystko co mam, jest i twoje; pójdź w moje objęcia.”

»Lecz ja nie sama przyszłam” — rzekła panna de Savigne. — „Jest ze mną i Bilatona.”

„O niechże wnijdzie! niech wnijdzie, abym ją uściskała” — zawołała Alika w najżywszéj radości.

„Lecz oprócz niéj jest jeszcze i...”

»Mów, mów, ktoż jeszcze? Jest tu dość miejsca dla wszystkich.”

„Dyjana” — odrzekła panna de Savigne.

„Moja charcica!” ozwała się ucieszona Alika. „O, Bóg jest sprawiedliwy; wraca mi wszystkie uciechy mojéj piérwszéj młodości.”

W kilka chwil po tém, płakała Alika z radości w objęciach swojéj staréj służącéj, i bawiła się z Dyjaną, którą skomląc i liżąc ją po rękach, nacieszyć się swoją dawną panią nie mogła.

Alika nie chciała nigdy pójść za mąż; lecz po kilku latach skojarzyła małżeństwo między panną de Savigne i pewnym kuzynem ubogich Mauriaków, zapisując większą część swego majątku młodéj parze.

Podróże i przygody missyjonarza Józefa Wolfa.

Missyjonarz Wolf, o którego niebezpiecznéj podróży do Buchary tyle niedawno po zagranicznych

pismach prawiono, należy bezsprzecznie do najosobliwszych ludzi teraźniejszości. Mianowicie nie ma zapewne nikogo, ktoby w obecnych czasach sławionego wszędzie pokoju tak niespokojny żywot był spędził, i większych doznał był niebezpieczeństw. Wolf, żyjący teraz wraz z swoją żoną, lady Georgijaną, w Mechlinie, w Brabancie, jest z urodzenia Żydem, przeszedł wcześnie do religii chrześcijańskiej, i otrzymał pierwsze wychowanie w Propagandzie, w Rzymie. Jednego razu przydybał go tam pewien podróżujący Anglik na sprzeczce z innymi spółuczniami o wytłumaczenie jakiegoś tekstu pisma świętego. Gdy po długim sporze żadną miarą na jedno zdanie zgodzić się nie chciano, uczynili koledzy Wolfa wniosek, aby tekst sporny samemu papieżowi do wyjaśnienia przedłożyć, lecz Wolf utrzymował, iż to rzecz niepotrzebna, gdyż on sam umie lepiéj po hebrejsku niż papież. Co słysząc przepowiedział mu Anglik natychmiast, iż długo w Propagandzie nie zostanie i dał mu na ten wypadek swoję kartę. Jakoż w krótkim czasie musiał Wolf użyć téj karty i znalazłszy swego protektora we Francyi, kończył naprzód w Paryżu a następnie w Cambridge kolegija. W r. 1821 rozpoczął swój zawód missyjonarski, opowiadając przez lat kilkanaście religiję chrześcijańską w Turcyi, Persyi, w Egipcie, Ziemi świętéj, Mesopotamii, Krymie, Georgii, Turkestanie, Afganistanie, Bucharze, Kaszemirze, Khorassanie, Indyjach, Arabii i Abyssynii. Wszędzie przechodził najdziwniejsze koleje losu. W Khorassanie wrzucono go do więzienia wraz z osławionym »Żdzieraczem głów« Mohamedem Khan Kherah, niesłychanym okrutnikiem, który w bitwie zwykł był nieprzyjacielowi głowę z karku, garścią bez miecza oddzierać. Ten oryjentalny rycerz pochodził w prostéj linii od Dżengis-Kana i umiał całą swoję genealogiję na pamięć. Bywszy postrachem Khiwy i Buchary, sprzymierzeńcem Tatarów i Kirgizów, doprowadziwszy do tego, iż Rossyja jego ambassadorów przyjmowała, postradał wreszcie wszystko i popadł w niewolę nieprzyjaciół. Wszakże jako prawy Muzułmanin znosił to nieszczęście z powagą, mówiąc: „Podobało się tak wszechmocnemu, wyniosłem się wysoko, musiałem więc spaść głęboko; Ałłach wielki, a przyszłość niezbadana. — Po swojém uwolnieniu, udał się Wolf przez Bucharę, do Kaszemiru i jéj sławnéj »stolicy duchów.« Tam widział jak Radża czyli król całego państwa odprawiał swe nabożeństwo przed trzema całkiem nagimi fakirami. Wolf chciał się wdać z nimi w dysputę, ale i w oryjencie cierpliwość nie bywa główną cnotą świętych i teologów — a fakirowie nakazali niedowiarkowi milczenie. Zatém nie bawiąc pospieszył Wolf do Delhi, gdzie złożył uszanowanie wielkiemu Mogułowi, i był tak szczęśliwym, iż mógł z najwyższym kapłanem czyli Mollah, podług wszelkich prawideł dysputacyi, mieć żywą, teologiczną rozprawę. Popobnież dysputował publicznie w obec króla w Lucknowie, i, jak nas zapewnia, odniósł świetne zwycięztwo. Daléj zaszedł do świętego miasta Hindusów, Benares, gdzie, podług zdania krajowców, wszyscy tamże umierający najwyższego dla wyznawców Bramy przeznaczonego szczęścia czyli tak zwanego *inokszu* dostępują, to jest, żywcem w istotę bóstwa się rozpływają. Z Benares udał się Wolf przez Heiderabad, do Madras, Goah i Punah. Tu napotkał osobliwsze plemię żydowskie, Beni Izrael, różniące się nabożeństwem od wszelkich innych Żydów. Tworzy ono osobną kastę wojenną, dostarczającą najwaleczniejszych żołnierzy kompanii wschodnio-indyjskiéj. Ci Beni-Izraelici odmawiają pewne starożytne, niezrozumiałe modlitwy, miewają także indyjskich bożków w swoich domach, a najbardziéj czczą amulety.— Opuściwszy Indyje popłynął nasz missyjonarz ku wybrzeżom czerwonego morza i zeszedł się tam z wysłańcami sekty St. Simonistów, z których sobie żartuje. Cztérech takich sekciarzy miało razem tylko jednę żonę, czem nawet Basza z Dżidda się gorszył. — Gdy Wolf do Abyssynii przybył, spodziewano się tam właśnie patryjarchy Koptyckiego, objeżdżającego natenczas swą dyecezyję, składającą się z tak zwanych Koptyckich chrześcijan. Z początku miano Wolfa za patryjarchę i zmuszono go do opluwania im twarzy, co tam za najwyższy dowód przychylności patryjarchy a uszanowania pobożnych uchodzi; po umyciu zaś okrytych kurzem nóg missyjonarza, rozbijali się prawowierni o tę wodę, któréj każdy z nich chciał się napić.— Pod miastem Senaa dostał się Wolf do obozu Rechabitów, którzyby go byli niezawodnie zabili, gdyby nie dawna przyjaźń Wolfa z jednym z ich plemienników, któremu on przed laty dał na pamiątkę biblię, znajdującą się jeszcze dotąd, jako święty upominek przyjaźni, w ręku dzikiego lecz gościnnego plemienia. Na mocy tego upominku przyjęto Wolfa jaknajuprzejmiéj, goszczono go przez dni kilka i chciano nawet koniecznie u siebie go zatrzymać, ofiarując mu którąkolwiek dziewicę swego plemienia za żonę, i pozwalając nawet opowiadać sobie naukę Messyjasza, będącego w ich wyobrażeniu jakąś tajemniczą istotą, w któréj imieniu kiedyś wojować będą, gdy wojennie przeciw swoim nieprzyjaciołom Kudom (Żydom) wyruszą. — Zresztą jak gościnność u Rechabitów, biblijne umywanie nóg w Abyssynii, tak też i w całym oryjencie zastał Wolf jeszcze też same starożytne patryjarchalne obyczaje, jakie tam przed cztérą tysięcy laty kwitnęły. Podziśdzień jest tam jeszcze każdy stary pastérz patryjarchą jak za czasów Abrahama, przysięgają dodziśdnia Żydzi na świątynię Jerozolimską, a nowo poślubioną oblubienicę odprowadzają dziś jeszcze jak za dni Jakóba lub Mojżesza, z pochodniami o pół-

nocy do domu oblubieńca. I dziś jeszcze staczają nienawistne plemiona krwawe walki przy krynicach Jememu; trędowaci muszą zdala od ludzi mieszkać; Rechabita nie sadzi winnicy i nie zasiewa roli, lecz żyje pod ruchomym namiotem, po zakonie; derwisze nie dają sobie dotknąć póki życia włosów nożycami, a niepłodne niewiasty pielgrzymują do miejsc cudownych. Wszystko tam jeszcze zaprawdę jak było przed trzema, cztérma tysięcy laty, bo Oryjent to właściwa kraina konserwatyzmu.

Znużony kikunastoletnią wędrówką wrócił missyjonarz Wolf morzem śródziemném do Europy i mieszka teraz, jak wspomniono, w Mechlinie.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 8my i zawiéra: 1) Odwar ze słomy zbożowéj służyć może na pokarm dla ludzi. 2) Uwagi nad robieniem masła. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Jeszcze jeden sposób ochronienia murów od wilgoci, 5) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 5ty i zawiera, prócz mód następujące szczegóły: 1) Obraz fantastyczny. Przez Maryje z Ch. P. 2) Wiersz: Do zobaczenia. Przez Leszka Dunina Borkowskiego. 3) Zbrodnia i wyrok. (Dokończenie.)

Przysłowia Arnauckie. »Całuj rękę, któréj odciąć nie możesz. — Poświęć brodę, aby głowę ocalić. — Bądź niewolnikiem temu który cię poważa, a srogim panem temu, który tobą pogardza. — Mięso i skóra na człowieku, bez wartości. — Z przyjaciołmi jédz i pij lecz w interesa nie wchódź. — Chcąc mieć spokój, trzeba nie mieć języka, oczu i uszu. — Namiętności kobiéce bez dna. — Błazen i o baszę się nie troszczy. — Słonie pcheł się nie boją. — Wino i kobiéty, słodka trucizna. — Gdyby już i w morzu wody nie stało, słowo prawego męża ma zawsze pozostać świętém. — Nierozważny przyjaciel gorszy od najrozważniejszego nieprzyjaciela. — Jedną kroplą miodu nałowisz więcej much niż całą beczką octu. — Szczérych i otwartych z miasta na pole pędzą. — Język ostrzejszy od miecza. — Przy dwóch kapitanach okręt pewnie utonie. — Kto darowane lub pożyczane wino pija, ten się podwójnie upija.— Gdyby wszystkie przechwałki prawdą były, tedy każdy żebrak byłby już baszą.

Wizija. Ludwik XVIII, będąc na wygnaniu, żył jak wiadomo niejaki czas w Blankenburg, w księstwie Brunświckiém. Tamto doszła go wiadomość o śmierci jego niezachwianéj przyjaciołki i sprzymierzanki, cesarzowéj Katarzyny II rossyjskiéj, o któréj Ludwik XVIII wówczas następną tajemniczą historyjkę, udzieloną mu w piśmie donoszącem o zgonie cesarzowéj, powiernikom swym opowiadał: »Około północy widziały czuwające u wnijścia do sypialni cesarzowéj damy dworskie, jak Katarzyna z jarzącą świécą w ręku, z sypialni wyszła i do poblizkiéj sali tronowéj się udała. Z początku zdziwiły się damy tą niezwyczajną przechadzką cesarzowéj, lecz zdziwienie ich zamieniło się w obawę, a wreszcie w trwogę, gdy Katarzyna po dość długim czasie nazad nie powracała. Wtém ozwał się nagle dzwonek cesarzowéj w sypialni, damy pobiegły tamże, i któż opisze ich śmiertelny przestrach, gdy cesarzowę jak zwykle na łożu obaczyły! Niepodobieństwem im było ukryć swoje niezwyczajne zmieszanie, a dowiedziawszy się o powodzie téj trwogi, chciała Katarzyna naocznie się przekonać, i wyszła w towarzystwie swoich dam dworskich do sali tronowéj. Podwoje sali były na oścież otwarte, a jakiś zielonawy połysk rozjaśniał całą jéj przestrzeń, szczególnie zaś tron cesarski, na którym postać Katarzyny siedziała. Cesarzowa wydała głośny okrzyk i padła zemdlona. Zjawisko znikło. Od téj chwili zaczęły siły Katarzyny ubywać, a po dwóch dniach — skonała. Było tak wiele świadków przy téj scenie, iż ona żadną miarą zataić się nie mogła; wszakże pewną jest rzeczą, iż ta cała scena nie na samém tylko złudzeniu polegała.»

Kwiaty w Paryżu grają nadzwyczaj ważną rolę. Paryżanin lubi kwiaty bardziéj niż psy i konie. Jakże miłym, słodkim uśmiéchem, jak cukrowemi słowy wywdzięczają mu się piękne ustka za ładny bukiet! Bo i Paryżanka kocha się namiętnie w kwiatach, lecz kocha ona je tylko w kupie; dla niej rosną kwiaty już gotowo uwiązane w bukietach, równiankach, wieńcach, na wystawie po sklepach; lubi ona je tylko jako ozdobę, jako daninę hołdów. Flora nie jest dla Paryżanki boginią lecz tylko sługą pokojową która jéj włosy i kibić stroi; ona sama chce być boginią. I nie jestże w istocie, jakbyśmy niezliczone boginie kwiatów widzieli, kiedy pod koniec karnawału na salę pierwszego lepszego balu w Paryżu wstąpimy! Jakże tam bujnie wiją się te kwiaty w około skroni, rąk, i włosów tanecznic! Ile tam w nich woni i żaru! A każda rószczka u wieńca splata się tak misternie z swojemi różnobarwnemi towarzyszkami, iżbyś mógł mniemać, że one wszystkie już tak razem na krzewie wyrosły; a każda tuli się tak lgnąco do białéj skroni, jakby nigdy z nią się rozstać nie chciała i od wieków tam kwitła; barwy bukietów są z taką wiadomością rzeczy ułożone, tak się harmonijnie z sobą spływają, iżbyś rad myślał, że to sam tajemniczy pędzel natury tę harmoniję barw stworzył, ten jedyny bukietowy kwiat wydał, gdyż jakby to wszystko rzeczywiście tylko jedynym kwiatem było, wyrasta ono z jednéj żywéj pięknéj łodygi i gnie się i lgnie rozkosznie. Ręczny zaś bukiet składa się z kilku jak najzgrabniéj w siebie włożonych wieńców: we środku pęk fijołków, wkoło tych — wianek z rezedy, wokoło rezedy krąg świéżych pąków różanych, wokoło róż helijotropy i t. d. Paryzkie bukietyjerki słyną po całym świecie; we wszystkie prowincyje rozchodzą się ich utwory.

Pszczoła przedpotopowa. Pisma angielskie donoszą o następującém osobliwszém zjawisku. Niedawno temu położono w Paisley niewielki, od kilku miesięcy na składzie będący kawał wegla ziemnego przy ogniu, ażeby nieco przesechł. Następnego poranku po odłomaniu kawałka węgla dało się jakieś melodyjne brzęczenie słyszéć. Nie widząc nigdzie pszczoły, uczyniono wniosek, iż ona w węglu być musi. I tak się też okazało. Zpoczątku obejrzano dokładnie węgiel, lecz nie można było żadnej szpary ani też żadnego pęknięcia dostrzedz. Rozbito więc węgiel ostrożnie młotkiem, a dopiéro wtedy wyleciała pszczółka tak żywo, jakby na łące w letnim słońcu igrała. Maluckie łoże, czyli trumienka, w któréj ona może przez kilka tysięcy lat spoczywała, było mało-co większe od jéj ciała, lecz nadzwyczaj kształtnie i

gładko wydrążone. Przez kilka minut nie przestawała pszczółka ruszać się wciąż i brzęczéć, lecz ach, biédne stworzenie nie miało długo dyszéć naszem powietrzem! Przebudziło się ze swego snu odwiecznego aby właśnie wtedy uczuć srogie zimno grudniowe, gdy może o kwiatach i słonecznym blasku marzyło! Tak więc przestała nieboga pszczółka brzęczéć i wnet zginęła. Ciało jéj zostało na pamiątkę tego wypadku zachowane.

Teraźniejsza wystawa obrazów w Paryżu, urządzona przez stowarzyszenie artystów, a przeznaczona na wsparcie ich uboższych kolegów, celuje niezwykłym doborem utworów wszystkich najsławniejszych mistrzów francuzkich, jak Davida, Verneta, Ingres, Delaroche i tylu innych. Od pilnego i jenijalnego Ingres znajduje się długi szereg obrazów, zacząwszy od jednego z piérwszych dzieł jego z r. 1808, aż do ostatniego, przed kilką tygodniami ukończonego malowidła. Co za przyjemność, przypatrywać się tak jawnie tam przedstawiającemu się rozwijaniu wielkiego talentu artystowskiego! Wszakże największe zajęcie wzbudza utwor Davida, wyobrażający zabitego Marata. To mistrzowskie dzieło jest oprócz tego pamiętne historyją swego powstania. Młodość Davida przypadła jak wiadomo w czasy najtraiczniejszych scen rewolucyi. Na piérwszą wiadomość o zabójstwie Marata, pobiegł młody artysta do jego pomieszkania. Zabity tyran siedział jeszcze w kąpieli, z głęboką raną w piersi, z martwo zwieszoną głową, i wychyloną przez krawędź wanny ręką. Tuż koło wanny leżał nóż krwią zbroczony. David wziął czémprędzéj kawałek papieru z stojącego przy wannie biórka i rzucił w kilku trafnych rysach szkicę okropnego lecz oraz spaniałego obrazu. Na téj samej kartce znajdowało się kilka wiérszy skréślonych ręką Karoliny Corday. Po śmierci artysty sprzedano ten trojaką pamiątką nacechowany kawałek papieru za 12.000 franków.

Liście drzewa kawowego zamiast herbaty. Uboższa część ludności na wyspach Jawa i Sumatra używa już oddawna liści drzewa kawowego jako surogatu herbaty. Profesor Blume z Leodyjum przedłożył zgromadzeniu badaczów przyrody w Bremie próbkę takiéj herbaty, która co do powierzchowności i zapachu w niczem prawie od chińskiéj herbaty się nie różni.

Angielska i francuzka niewola. Dziennik londyński »*Morning Post*« wyrzeka gorzko na rząd francuzki, iż uwięzionemu we Francyi książęciu Ludwikowi Napoleonowi nie dozwolił na jego prośbę, odwidzić chorego ojca w Florencyi, i czyni przytém uwagę, iż Francuzi odtąd Anglikom niewoli Napoleona na wyspie św. Heleny wyrzucać nie powinni, gdy sami wten sposób z synowcem swego cesarza się obchodzą.

Sprawca wielkiego pożaru Hamburskiego został, jak powiadają, niedawno temu przypadkowo odkrytym. Ma to być młody kupiec, który tylko asekuracyję ogniową chciał oszukać, i tak okropne nieszczęście tém wywołał.

Dar królewski. Przed kilką tygodniami wyprawiono z Paryża do Londynu elegancką skrzynekę, opatrzoną herbem królewskim, a zawiérającą zupełną wyprawę damską, jakoto: całą poranną i wieczorną toaletę, dwie toalety balowe, wszelkie należące do tego przybory, klejnoty, bransoletki, kolce, naszyjniki, wszystko najkunsztowniéj ze złota i drogich kamieni urobione, a to wszystko dla — lalki małéj córeczki królowéj Wiktoryi.

Długi oficerskie. Oficerowie Macedońscy musieli się doskonale na robieniu długów rozumieć. Gdy bowiem Aleksander Wielki z swojej indyjskiéj wyprawy nazad do Persyi wrócił, okazało się, iż jego oficerowie tymczasem 29 milijonów długów ponarabiali — co wszystko Aleksander W. za nich zapłacił.

Zyskowna spekulacyja. Gdy w r. 1815 Niemcy i Rossyjanie we Francyi bawili, znajdowało się w piwnicach pewnéj handlarki winami w Rheims pani Calicot, przeszło 200,000 butelek doskonałego wina szampańskiego na składzie. Stojący tamże batalijon rossyjski otrzymał od swego dowódzcy pozwolenie przedsięwziąć małą rewizyję rhejmskich piwnic i zakosztować szampana. Ledwie się to rozniosło, nadbiegli wszyscy sąsiedzi uwiadomić panią Calicot, jaki okropny los jéj pięknéj armii szampańskiéj wobec Kozaków grozi. Lecz przemyślna kupczycha, zamiast omdléwać ze strachu, lub wcale piękne krucze włosy sobie wyrywać, odrzekła obojętnie: »To dobrze, niech piją; jak oni raz zakosztują, będą oni potém ciągle do mnie przychodzić, i zapłacą mi w trójnasób, co dziś na próbę wezmą.« — I tak też w samej rzeczy się stało. Rossyjanie upodobali sobie tak bardzo w szampanie pani Calicot, iż go podziśdzień zapomnieć jeszcze nie mogą, i ciągle go sobie do Rossyi sprowadzają, przezco pani Calicot coroku za przeszło dwa milijony szampańskiego wina, butelkę po 15 franków, do Moskwy i Petersburga wyprawia. We Francyi nie przedaje się nawet to wino. Pani Calicot nabyła ztąd olbrzymiego majątku, a jéj córka idąc za hrabiego Chevigne za mąż, otrzymała w posagu 100.000 liwrów rocznéj intraty. Niedawnemi czasy ożenił się drugi hrabia, pan de Montemart, z wnuczką pani Calicot, mającą trzy milijony posagu. Mało kto z handlarzy winnych wyszedł tak dobrze na wkroczeniu nieprzyjacielskich wojsk do Francyi.

»*Blow me up!*« Wiadomo jest, iż amerykańskie statki parowe nadzwyczaj szybko i nieostrożnie pędzą, przezco zbyt częste nieszczęścia się wydarzają. Niedawno zawadził pewien statek parowy na rzece Missisippi o ogromny pień leżącego w wodzie drzewa i wprawił wszystkich podróżnych w okropną trwogę. Mianowicie jakaś stara, gruba jéjmość przelękła się niewymownie, i tylko w lekkim kaftaniku ubrana, wybiegła z kajuty damskiéj do męzkiéj. W obawie aby statek nie zatonął, przypasała ona sobie tak zwaną »machinę wybawczą« to jest széroki pas z pęchérzów, utrzymujący nad wodą, lecz była tak mocno przerażoną, iż żadną miarą pęcherzy powietrzem nadać nie mogła. Przyleciała tedy w trwodze do kajuty męzkiéj pomiędzy oficerów i zaczęła rzewliwemi głosy ich błagać: »*Blow me up! Blow me up!* Nadmijcie mię! Nadmijcie mię!« Wszyscy parsknęli śmiéchem a tymczasem niebezpieczeństwo minęło.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.